

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Kryzys psychiczny.

Ciężka sytuacja ekonomiczna i brak jaśniejszych perspektyw na przyszłość wywołują, rzecz zupełnie zrozumiała, ogólne przygnębienie i depresję duchową. Społeczeństwo przestaje się interesować wszystkim, co nie jest bezpośrednio związane z kryzysem gospodarczym i co nie może doraźnie wpłynąć na polepszenie warunków materialnych.

Miarą tej apatii jest charakterystyczne zjawisko, że kwestja uregulowania stosunków polskolitewskich, która stała się niezmiernie aktualną wskutek zatargu litewsko-niemieckiego o Kłajpedę, nie wywołała ani w Warszawie, ani, co dziwniejsza w Wilnie głębszego poruszenia w opinii. Mniej uwagi bodaj jej się poświęca, niż projektowi bloku naddunajskiego lub irlandzkim aspiracjom niepodległościowym.

Jeszcze przed kilku laty, gdyby się wytworzył wtedy taki stan rzeczy, jakiego jesteśmy dziś świadkami, efekt byłby piorunujący. Odbływałyby się zebrania, prasa by się gorączkowała, po mieście krążyłyby sensacyjne wersje i plotki. Pamiętamy przecież wszyscy dobrze niejednokrotnie takie momenty powszechnego niemal podniecenia, chociaż nie było dostatecznych powodów po temu i nic nie upoważniało do stawiania optymistycznych horoskopów. Obecnie zaś, gdy rzeczywiście warunki układają się w ten sposób, że otwiera się pole do polityki czynnej, gdy próby znalezienia wyjścia z trwającego od kilkunastu lat impasu w stosunkach polskolitewskich mogą się opierać na przesłankach realnych, — nie widać żadnej inicjatywy w tym kierunku. Prasa polska w Wilnie, powołana w pierwszym rządzie do odegrania tu roli naczelnej i tak chętnie ją odegrywająca w wypadkach wątpliwych, dziś właśnie, gdy zachodzi potrzeba, nie wykazuje żadnej ruchliwości, jest dziwnie jałowa i pusta.

„Kurjer Wileński” poprzestał na paru artykułach zdawkowych i ogólnikowych, zajmując pozycję wyczekującą. „Dziennik Wileński” powtórzył jeszcze raz, że kwestja wileńska nie istnieje, ponieważ została już dawno rozstrzygnięta przez Konferencję Ambasadorów i jedynie „Słowo” zdobyło się w numerze wielkanocnym na oryginalną koncepcję, chociaż pozbawioną wszelkiej wartości realnej.

Unja dynastyczna Litwy z Polską, z projektem której wystąpił p. Cat, jak to słusznie zaznaczył „Dziennik Wil.” jest nie do pomyslenia już dlatego chociażby, że ani Polska ani Litwa nie posiadają żadnej dynastji wogóle, a tembardziej takiej, któraby cieszyła się popularnością i autorytetem w obu tych państwach i u obu narodów.

Zresztą sam p. Cat stwierdza kategorycznie, że „o połączeniu z Litwinami nie można mówić, ani marzyć, jeśli się im nie zagwarantuje nie tylko najswobodniejszego rozwoju ich emancypacji narodowej, lecz także całkowitej niepodległości ich państwa”. A wszelka unja — nie wyłączając dynastycznej — jest przeciwieństwem zaprzeczeniem tej zasady. Wogóle wszelkie rozważania na temat ściślejszego związku Litwy z Polską w obecnej chwili są conajmniej przedwczesne i tylko mogą zaciemnić horyzont, na którym zaledwie słaby promyk światła się ukazał. Tematem dyskusji powinna być wyłącznie kwestja nawiązania normalnych stosunków sąsiedzkich i otworzenia szczerze dotąd zamkniętej granicy.

I ta sprawa nie da się załatwić bez koncesyj ze strony Polski na punkcie Wilna. Polityk realny musi się liczyć z tym faktem i w swych koncepcjach tylko z tego założenia wychodzić. Jakie ustępstwa może poczynić Polska i co może spuścić Litwa ze swych maksymalnych żądań — oto właściwe zagadnienie, którego omawianie może dać jakieś konkretne rezultaty. Na tej drodze, naszym zdaniem, można jedynie dojść do porozumienia, którego,

zdaje się, dziś pragną już obie strony, ale żadna nie chce uczynić pierwszego kroku.

P. Cat, jak widać, rozumie konieczność ustępstw, gdyż rzuca myśl, aby Litwinom udzielić prawa szerokiej ekspansji kulturalnej w Wileńszczyźnie. „Rozumiem, że byłoby możliwe — pisze — aby Litwini otworzyli sobie w Wilnie Uniwersytet, Akademię, teatr, szkoły. Gotów byłbym nawet powiedzieć, że nie widziałbym powodu, dlaczego nie miałyby to podlegać litewskiemu ministerstwu oświaty, tak, jak mieliśmy przykłady szkół, czy stacyj naukowych jednego państwa, zakładanych na terytorjum innego państwa. Nie widziałbym powodu, dlaczego mielibyśmy odmawiać prawa pobytu litewskim instytucjom kulturalnym w Wilnie”.

Wątpić można, czy tego rodzaju koncesje zadowolą Litwinów. Zresztą trudno je sobie wyobrazić przy obecnym systemie unifikacyjnym i centralistycznym, jaki panuje w państwie polskim. Pomysł p. Cata jest nieprzemysłany i fantastyczny, ale jest bodaj pierwszą propozycją kompromisową ze strony polskiej i dlatego zasługuje na podkreślenie. Zawsze to jest coś, gdy dotychczas rozlegało się nieprzejdane *non possumus*. Może potem przyjdą projekty szczęśliwsze i bardziej nadające się do dyskusji. Ważną rzeczą jest zruszyć zakrzepłą myśl z martwego punktu i ośwoić opinię z możliwością i potrzebą kompromisu.

Na artykuł p. Cata, utrzymany zresztą na ogół w tonie dość sceptycznym i mało poważnym, zareagowała jedynie prasa endecka z właściwym sobie zaciętrzewieniem partyjno-nacjonalistycznym. Szerzego echa w społeczeństwie polskim wystąpienie p. Cata nie znalazło. Organy, bardziej miarodajne dla polityki obozu rządzącego milczą. Milczą również uporczywie poszczególni działacze wileńscy, tak skorznie dawniej do poruszania przy każdej sposobności kwestji stosunków polsko litewskich. Złośliwi krytycy

utrzymują, że dzieje się tak wskutek braku wskazówek zgóry, z braku najwyższej dyrektywy.

Możliwe, że i ten powód gra tu pewną rolę, sądzymy jednakże, że ważniejszym jest owe powszechne przygnębienie, o którym wspominaliśmy na początku, a które wytwarza nastrój zniechęcenia i niewiary we wszelkie poczynania, wymagające wysiłku psychicznego. I ta martwota umysłowa jest bodaj groźniejszym objawem, niż kryzys ekonomiczny.

Dziesięciolecie bez obchodów.

W dniu 24 marca b. r. ubiegło 10 lat od chwili oficjalnego wcielenia Wileńszczyzny do Polski na podstawie uchwały Sejmu Ustawodawczego w Warszawie.

Sejm w Wilnie dnia 20 lutego 1922 roku poprzedził ten fakt uchwałą że „Ziemia Wileńska stanowi bez warunków i zastrzeżeń nierozdzieloną część Rzeczypospolitej Polskiej”.

Minęło 10 lat od czasu, kiedy poczciwy ludek wileński, zasugerowany hasłami endeckich krzykaczy, oblegał mury teatru na Pohulance w oczekiwaniu przyłączenia do utęsknionej i wydelizowanej przez lata ucisku Warszawy. Były to jeszcze czasy kiedy warszawianin, poznawany na naszym gruncie przez swój mocno odrębny akcent, był witany jako miły gość, o gładkich manierach, przyjemny w obejściu się, niesłychanie grzeczny. Wyraz „Warszawa” miał w sobie coś pociągającego, jak pociągające są rzeczy niewidziane, nieznanne zbliżone, lecz oddawna popularne. Wpływy literatury polskiej, kult przeszłości, nieznanność historii własnego kraju — wszystko to przez dziesiątki lat emocjonowało dwory, plebanje i powoli udzielało się szerszemu ogółowi. Prześladowanie polskości dodawało jej jeszcze większego uroku i potęgowało sentyment do wszystkiego, co szło do nas z b. Kongresówki i b. Galicji.

To światło różowe, opromieniające Warszawę było tak jaskrawe, że nie pozwoliło wielu ludziom rozumieć najprostszyc rzeczy. Mianowicie, nie po-

VAIŽGANTAS.

Spokojniewiczowie i Niespokojniewiczowie.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

Wspólne cechy.

Spokojniewicz z Niespokojniewiczem mieszkali na krańcu wsi Auksztajcie. Chaty ich były położone naprzeciwko siebie. Obaj gospodarze byli jeszcze niestarzy, ale już przekroczyli granicę, dzielącą życie na dwie połowy. Również obaj mogli już wyprawić srebrne wesele. Obaj też byli wstrzemięźliwi, zdrowi i pracowici, chociaż, będąc prawdziwymi Litwinami, nie lubili zbyt się śpieszyć, jak nie przymierzając Łotysze, i od półkwatka nie wymawiali się, jak te abstynenty zaprzysiężone.

Podczas ostatniego spisu stwierdzono, że każdy z nich posiada po 19 dziesięcin uprawnej i po 5 dziesięcin i 173¹/₂ sążnia nieużytków, bagna, które jednak obaj sąsiedzi osuszyli i wyrównali przeznaczając je na pastwisko. A że żyli w jednakowych warunkach i mieli równe siły i chęci do pracy, więc i inwentarza posiadali tyle samo. Obaj mieli po trójce dobrych koni, z których każdy wart był więcej niż setkę. Trzymali po dziesięć sztuk bydła, doili po pięć, sześć, a czasami nawet po osiem krów, jednak mlekiem nie handlowali, natomiast sami jedli porządnie. Strzygli równo po tyle samo owiec, rznęli po tyle samo wieprzów, karmili po tyle samo gęsi na tłuszcz.

I tylko jeden Pan Bóg wiedział, bo chyba Jego święta Opatrzność tak zrządziła, dlaczego ich życie tak jednako się układało, że aż w oczy to wszystkim się rzucało.

Jeżeli u Spokojniewicza urodziło się dziecko, to, patrz, i Niespokojniewicz również chrzciny wy-

zwałało zrozumieć, że szaleństwem jest zrzekać się dobrowolnie swoich praw zasadniczych, otrzymując wzajemnie tylko obowiązki i zależność.

Że w atmosferze ówczesnej mógł wyrosnąć pęd do inkorporacji z „Macierzą” jest to objaw bądź co bądź zrozumiały, lecz dlaczego obozowi nacjonalistów polskich tak mocno zależało na „poddaniu” bez zastrzeżeń, to znaczy na pozbawianiu siebie głosu w urzędzeniu swojego kraju, — jest to fakt, który pozostanie prawdopodobnie na zawsze paradoksem życiowym mało spotykanym w historii. „Bierzcie nas bez zastrzeżeń, panujcie nad nami!” — jest w tem coś ze spadku duchowego po niewoli moskiewskiej. I rzeczywiście jest to jedyny chyba w dziejach wypadek, by społeczeństwo złożone z obywateli, a nie niewolników rezygnowało dobrowolnie ze swej samodzielności i oddawało rządy w ręce przybyszów.

Uchwała Sejmu wileńskiego o przyłączeniu Wileńszczyzny do Polski bez zastrzeżeń jest dowodem nie tylko odruchowego sentymentu i egzaltacji, ale też i niedojrzałości politycznej większości sejmowej, wytworzonej w warunkach nienormalnych i sztucznie, bez przedstawicielstwa świadomego elementu białoruskiego i litewskiego.

Po 10 latach przychodzi otrzeźwienie. Nie można je tak łatwo, odrazu dostrzec. Niepodobna, by klika wodzirejów endeckich przyznawała się dziś otwarciu do swoich zbyt pochopnych posunięć politycznych, jako błędów; nie doczekamy, by oni publicznie jako winowajcy bili się w piersi. Przeciwnie, z okazji dziesięciolecia tej rezygnacji z praw obywatela usiłowała prasa endecka przypomnieć o swoim „triumfie”. Ukazało się kilka artykułków w prasie endeckiej, lecz jakże one były nikłe, jakie blade, pozbawione wszelkiego entuzjazmu! Nadrabianie miną nie zdołało ukryć dominującego tonu: rozczarowania.

Jakże bo można tłumaczyć inaczej poprzestanie na wytartych komunałach i bezbarwnych wspomnieniach w dziesiątą rocznicę tak doniosłego faktu, jakim było prawne przyłączenie wielkich obszarów litewsko-białoruskich do Polski? Przecież stało się zadość pragnieniom ogółu? A stało się to przecież nie bez ořeźnych starć, poprzedzających inkorporację Wileńszczyzny, nie bez trudności i komplikacji na forum międzynarodowym, słowem nie bez uciążliwych przeszkód zostało odniesione zwycięstwo i raptem w 10 lat później ani jednego obchodu, ani

jednego pochodu, żadnej akademji, żadnej chorągiewki.

Nie należy wprawdzie spodziewać się, by dzisiejsze czynniki prorządowe, wysuwające ongiś koncepcje autonomiczne czy federalistyczne, urządały w rocznice wcielenia bez zastrzeżeń uroczyste galiówki. Kolidowałoby to niewątpliwie z dawniejszymi pomysłami choć niezdecydowanymi, lecz zdradzającymi pewną niezależną myśl polityczną. Ale gdzież są dzisiaj ci entuzjaści z pod polskiego sztandaru narodowego, co to okazali największy pęd owczy w rezygnacji z elementarnych praw obywatelskich? Gdzież są dzisiaj ci posłowie t. zw. Rad Ludowych, głosy których po długich wahaniach zadecydowały o pogrzebaniu autonomji? Czemu oni nie urządzili choć jednej skromnej akademji ku upamiętnieniu bądź co bądź historycznej daty?

Nie zrobili tego, bo ich entuzjazm wywietrzył w miarę realizowania się skutków uchwały Sejmu Wileńskiego. A skutków tych daleko szukać nie trzeba.

Dzisiaj po dziesięciu latach społeczeństwo zaczyna sobie uświadamiać, że Wileńszczyzna to kraj całkiem odmienny pod każdym względem. Warunki historyczne, klimatyczne, geograficzne, gospodarcze są wiecznie żywymi wrogami tego „bezzastrzeżeniowego” wcielenia, i co zatem idzie, bezwzględnej centralizacji. Warunki te oczywiście rzuciły się jaszkrawo w oczy i dawniej, ale w owych czasach uczucie zapanowało nad rozsądkiem.

Głębokie różnice pomiędzy Wileńszczyzną a rdzeniem polskimi dzielnicami państwa zarysowały się dziś w całej pełni, zwłaszcza różnice natury psychologicznej. Napływ na ziemię białorusko-litewskie przybyszów z Mała i Wielkopolski w charakterze nauczycieli ludowych, rozmaitego gatunku administratorów, osadników i handlarzy otworzył oczy nie tylko żywiolom, zaliczanym u nas do mniejszości narodowych, ale także i Polakom autochtonom naszego kraju. Potwierdziło się dobitnie, że miejscowy Polak nie tylko pochodzeniem jest bliższy Białorusinowi lub Litwinowi ale też i duchowo. Pomimo różnic językowych, religijnych i kulturalnych miejscowi Polacy instynktownie odczuwają duchową wspólnotę z tymi, z którymi niegdyś stanowili jedno ciało, gdy tymczasem przybysz z Galicji i Kongresówki odrazu po swem zjawieniu się podkreślił jaszkrawo swoją obcość

prawia. Jeżeli Niespokojniewiczom umarło dziecko, to cała wieś wie, że wkrótce trzeba będzie pójść na pogrzeb do Spokojniewiczów. I tak trwało dopóty, dopóki po pogrzebie pięciorga dzieci, pozostało u każdego również po pięcioro: po trzech synów i po dwie córki.

Podobnie rzecz się miała i z inwentarzem: tyle samo owiec miało dwojaczki, tyle samo po jednym jagnięciu. A gdy pewnego razu jedna owca Spokojniewicza troje na świat wydała, to po dwóch tygodniach Niespokojniewicz nawet nie szedł do owczarni liczyć; wiedział, że i jego jedna owca ma trojaczki.

Wieś uważała obu gospodarzy za bardzo porządnych ludzi i wzorowych rolników. Oni o tem wiedzieli i dumni byli z tego. Ze wszystkimi sąsiadami żyli obaj w jednakowo dobrych stosunkach: gdy spór jaki wynikł — rozsądźali, gdy kto był w potrzebie — śpieszyli z pomocą i dobrej rady nigdy nikomu nie poskapili. I nikt nie mógł powiedzieć, który z nich jest lepszym człowiekiem.

Nie mógł tego powiedzieć nawet sam proboszcz, który od niepamiętnych czasów obydwoim powierzył był urzędy kościelnych marszałków i syndyków kasy parafjalnej. A gdy ksiądz, jadąc po koledzie, zajechał do jednego na obiad, to do drugiego konieczne musiał wstąpić na kolację, choćby mu się z drugiej wsi wracało wypadało.

Obaj sąsiedzi rozumieli, że nie prześcigną się wzajemnie. Starali się więc tylko o to, by nie dać się drugiemu wyprzedzić w najmniejszej drobnostce. Trwało więc między nimi oryginalne współzawodnictwo, którego celem były nie triumf i zwycięstwo, lecz uniknięcie porażki.

To było ich jedyną rozrywką, która jednak w ciągu długich lat napsuła im dużo krwi i wreszcie przyczyniła się do obudzenia w duszach obu sąsiadów niedobrych myśli i uczuć.

Obaj byli jednakowo twardego charakteru, i obaj odznaczali się zawziętością. Wiedzieli o tem i oni sami, wiedzieli i wieś cała, wiedział i pro-

względem tubylców. Struktura duchowa tego przybysza jest tak odmienną, że odczuwa ją, i to bardzo wyraźnie, nawet człowiek najmniej okrzęsany. Element napływowy, pomimo poczuwania się do wyższej kultury, oglądy towarzyskiej, co raz bardziej staje się przez miejscową ludność traktowany jako całkiem odmienna rasa o większej wprawdzie energii i rzutkości, żywszym temperamencie, gładszych formach, lecz pod względem wartości duchowych pozostawiająca bardzo dużo do życzenia. Wprawdzie o przysłowiowej bładzie warszawskiej, płytkości, nieszczerości mówi się nie od dzisiaj i nie tylko u nas, lecz praktycznie przekonać się mieliśmy możność dopiero w ciągu ostatnich 10 lat, kiedy to mało widzialna, ale wielka armja powoli, lecz stale posuwa się do nas „na podbój kulturalny”.

Jeżeli wreszcie zważy się, że element napływowy ma nietylko pretensje kulturtregerskie, ale jeszcze wypiera autochtonów ziem litewsko-białoruskich z posad i urzędów, zabiera powoli w swoje ręce całą administrację i szkolnictwo w kraju, czyli, że nietylko chce gospodarzyć, ale poprostu wydziera chleb miejscowej inteligencji, szczególnie białoruskiej i litewskiej, to nie można się dziwić, że stosunek do przybyszów początkowo przychylny i pobłażliwy, co raz bardziej przekształca się w otwartą niechęć. Od przeblysków tej niechęci nie są wolni już nawet ci, którzy stali ongiś na czele „bezzastrzelnowego” pędu. Wystarczy przypomnieć jaki to hałas podniosł niedawno „Dziennik Wileński”, kiedy grupka wileńskich warszawistów usiłowała zlikwidować zasłużoną placówkę przedwojenną, jaką jest „Lutnia”. Prawdopodobnie w tym wymownym zjawisku kulturerja endecka jeszcze całkiem nie była zdolna dojrzeć skutków wcielenia bez zastrzeżeń, lecz zanosi na to, że nietylko zacznie rozumieć, ale i będzie reagować na traktowanie ziem naszych jako terenów kolonizacyjnych, gdzie przyrodzony gospodarz kaju sprowadzany jest do roli obywatela drugiego rzędu.

Polskiej ludności Wileńszczyzny, wychowanej na kulcie bohaterskiej przeszłości i tęsknocie do odrodzenia Polski, tęsknocie podsycanej skutecznie moskiewskim uciskiem, historia odmówi niewątpliwie zdolności przewidywania w kwestji urządzenia swego bytu politycznego. Tę zdolność mógł przysłonić zresztą nieoczekiwany triumf ideałów ogólnonarodowych. Jednej natomiast cechy nie można odmó-

wić Polakom po dzień dzisiejszy—lubowania się w pompatycznych obchodach i uroczystościach, niezależnie od tego czy jest dostateczny powód po temu, czy niema. Głucha cisza panująca w dniu dziesięciolecia wcielenia Wileńszczyzny do Polski w tych warunkach jest znamię czasu, zasługującym na podkreślenie. Martwość ta przekreśla doniosłość uchwały Sejmu wileńskiego, aktu zrodzonego w entuzjazmie, lecz zawodnego w skutkach. Oznacza ona stopniowy rozwój myśli decentralistycznej.

Należy oczekiwać i pragnąć, by po myśli nastąpiły i czyny.

Al. S.

Zamiłowanie do parodji.

Głośno przed kilku laty otrąbiony regionalizm, nietylko nie stał się na naszym gruncie jakimś czynnikiem twórczym, nie dał nic pozytywnego, niczemu nie potrafił się przeciwstawić, nic naprawić — ale naogół, stwierdzić to można, wytchnął się już zupełnie i zaznacza się tylko w gładzeniu rozmaitych impotentów politycznych, wypełniających modną terminologją swą pustkę ideową.

Mimo kompletnego swego bankructwa, w środowisku miejscowej inteligencji polskiej regionalizm ma pewną ilość zwolenników, a nawet gorliwych krzewicieli. Pozbawiony wszelkiej treści politycznej i społecznej, zdawałoby się w dziedzinie życia kulturalnego, mógłby ujawniać swoje tendencje i spełniać jakąś określoną rolę. Tę rolę go poniekąd usprawiedliwiałoby, a być może, działanie jego w pewnych dziedzinach życia mogłoby mieć i praktyczne znaczenie, zwłaszcza wobec zachłanności centralizmu państwowego, który siłą swojej inercji zmiata przed sobą, w sposób nieraz brutalny, wszelkie tak zwane „regionalne” odrębności i właściwości.

Całkiem słusznie niejednokrotnie w „Przeglądzie Wil.” podkreślano, że pojęcie regionalizmu nie pokrywa się bynajmniej z pojęciem krajowości. Jednak, ten swego rodzaju sentyment do wszystkiego co z krajem naszym jest związane — o czem tak dużo mówią regionaliści — stroi ów regionalizm w piórka krajowe, a z regionalistów robi w pewnej

boszcz. Ale ponieważ z tego żadnej szkody nie wynikało, więc nikt tego przedmiotu nie dotykał nawet w rozmowie, bo to byłoby wdzieraniem się do cudzej duszy.

I Spokojniewicz i Niespokojniewicz nie bronili przyjaźni się swym żonom i dzieciom, które po kilkanaście razy na dzień zabiegały naprzeciwko i sływały, wiedziały, oraz wiedziały wszystko: każdą myśl, każde słowo, każdy czyn i zamiar każdy. Sami gospodarze zaś nigdy się nie odwiedzali i nie rozmawiali z sobą. Chyba że ksiądz do którego zajechał, lub wiec u którego się odbywał. Ale i wtedy, gdy wypadło do siebie przemówić, czynili to przez trzecią osobę.

— Bo, widzicie, jabym Spokojniewiczowi tak odpowiedział...

Od członków swej rodziny każdy z gospodarzy zawsze w porę dowiadywał się o zamiarach współzawodnika i w porę wyrównywał różnicę.

Jeżeli Spokojniewicz uplanował dach załatać,

to następnego dnia widziano już Niespokojniewicza, konno po dachu jeżdżącego.

Jeżeli Niespokojniewicz zaczynał szykować sztachety, zamierzając zastąpić niemi płot chróściany, to i Spokojniewicz już krzątał się przy swym płocie.

Dawniej jeszcze, gdy jeden z nich kurną chatę przebudował na nowoczesną z kominem, natychmiast uczynił to i drugi. Jak tylko jeden wystawił przepierzenie w chacie przeznaczając połowę dla jagniąt i dzieci, zaraz zrobił to i drugi.

Wreszcie urządzili się tak jednakowo, że dla niezbyt baczących żebraków stało się to istną karą boską. Odklepie który pacierze u Niespokojniewicza, dostanie kawał chleba ze słoniną i pobożnie spuściwszy oczy, idzie do Spokojniewicza. Spojrzy, podchodząc i...

— Tfu, czy mi się w głowie zakręciło? Przecie prosto stąd idę...

I idzie nazad do Niespokojniewicza. A Niespokojniewiczowa złości się i łaje:

mierze rzeczników i orędowników miejscowych odrębności. Lecz wkłada to też na nich i pewne obowiązki.

W ostatnich czasach nasi regionaliści upodobałi sobie konika swoistej odrębności mowy „tutejszej”. Widocznie, że i w sferach oficjalnych znajduje to oddźwięk, skoro mowę tutejszą, rodzajem próbnego ćwiczenia, czy niewinnej rozrywki. dopuszcza się do szkół państwowych. Ten język „tutejszy” zyskał sobie stały zakątek w radjo wileńskim, a jedna z gorliwych propagatorek tej mowy, p. Helena Romer, postawiła teoretyczne pytanie: czy jest to gwara, czy też dialekt? Doskonale, mojem zdaniem, z rzuconem pytaniem załatwił się w „Przeglądzie Wil.” p. Al. S., dając krótką, lecz bardzo rzeczową analizę pochodzenia tak zwanej mowy „tutejszej”. Nie zamierzam w kwestji tej zabierać głosu, chociaż przygodnie tylko chciałbym zaznaczyć, że za mało zostały przez p. Al. S. uwzględnione wpływy i oddziaływanie języka litewskiego. Ale chodzi mi tu o co innego.

Otóż to roztkliwianie się nad mową Juozefuweczek, czemu tak dużo poświęca się czasu i miejsca, stoi w rażącej sprzeczności z zupełną obojętnością i brakiem zainteresowania w środowisku regionalistów mową białoruską. Zdawałoby się, że mowa, którą posługuje się w życiu codziennem olbrzymia większość ludności naszego kraju, a zasiąg której dochodzi wprost pod mury Wilna — jest najbardziej „regjonalnem” zjawiskiem, charakterystycznym dla naszego kraju. I jako specyficzna odrębność „regjonalna”, powinna siłą rzeczy interesować tutejszych regionalistów, którzy stale twierdzą, że wszelkie odrębności i właściwości miejscowe zasługują z ich strony na uwagę i opiekę. Tymczasem, stosunek do języka białoruskiego, macierzystej mowy ludu miejscowego, delikatnie mówiąc, jest wprost zadziwiająco obojętny. Inteligent regionalny, naczytawszy się „pogaduszek” p. Wołłejki, czy nasłuchawszy się ciotki Albinowej, rad jest przy każdej sposobności popisywać się tą gwarą w rozmowie z białoruskim włościaninem, uważając, że już tem samem składa pewną daninę na ołtarzu regionalizmu. Nie mam wątpliwości, że włościanin ocenia to, jako przedrzeźnianie jego złego wystawiania się po polsku, a nawet, jako niepoważne jego traktowanie. Natomiast w środowisku regionalistów nie wzbudzą zainteresowania,

coraz bardziej wypierane przez życie, perły białoruskiej pieśni ludowej, rozmaitych przypowiastek ludowych — a wszak one właśnie stanowią najcenniejsze, a być może skazane na zagładę, osobliwości „regjonalne”.

Gdy w końcu zeszłego stulecia, ukazało się krakowskie wydanie „Dudki Białoruskiej” Macieja Buraczka, jakże wielkie zainteresowanie te poezje wzbudziły w środowisku inteligencji wileńskiej! Książeczki te szły z rąk do rąk, wrywano je sobie, przepisywano, uczoło się na pamięć, deklamowano na zebraniach. A czy teraz ktoś z regionalistów interesuje się poezją tego Oszmiańczuka? Próżno byśmy szukali choćby iskry sentymentu.

Niedawno zetknąłem się w towarzystwie z pewną nauczycielką ludową z okolic Wilna. Panienka ta pochodziła z „Małopolski Wschodniej”. W rozmowie wykazała dużo inteligencji i zapału do swego zawodu. Pracowała w wioskach, gdzie ludność mówi po białorusku. Mówiąc o swoich przygodach zawodowych, uskarżała się na duże trudności nauczania dziatwy, słabo pojmującej po polsku. Działwa z trudem „przykładała się” do mowy polskiej, a gdy nauczy się, to mówi fatalnie. Otóż ta pionierka oświaty — jak to wyznała z rozbrajającą szczerością — wynalazła doskonałą metodę szybszego „przykładania” dzieci do mowy polskiej. A mianowicie zarządziła, aby dzieciaki, podczas bytności w szkole, nie śmiały inaczej między sobą mówić, jak tylko po polsku, a, żeby to zarządzenie było bardziej skuteczne, każde dziecko, które mówiło po białorusku, karane było klęceniem w kącie. Metoda ta przyniosła jakoby znakomite rezultaty, gdyż dzieciaki nie mówią już między sobą po białorusku, a gorliwie „przykładają się” do języka polskiego. Nie sprawdzałem tego, czy owa nauczycielka faktycznie uciekała się do tego środka — czy może sama już groźba poskutkowała, a może nawet tylko się przechwalała swoim pomysłem — tego nie wiem. Ale znając nasze stosunki wiem, że toby było zupełnie możliwe, gdyż szkoły w takich zapadłych kątach rzadko się wizytowane, a nauczyciel, czy nauczycielka mają pełną swobodę postępowania.

W związku z poruszonym tematem nasuwa się taka refleksja. Gdy „regjonalni” inteligenci z przejęciem i zapałem oddają się kultowi „tutejszej” gwary, gdy ciotka Albinowa rozpowszechnia ją przez

— Ach, ty, krowo, byku! (W zależności od tego jakiej płci był żebrak). Czy ciebie licho odkręciło? Przecie już raz dałam...

Jeżeli natomiast łąjała Spokojniewiczowa, to mówiła:

— Owco, baranie! Czy gorączkę masz, że drugi raz przychodzisz?

I nieraz żebrak najadał się wstydu a po jego wyjściu długo rozlegały się przekleństwa.

Nie ustępowały sobie w niczem i rodziny.

Jeżeli Spokojniewiczowa kupi dla swych córek nowe chusteczki, to Niespokojniewiczówny dopóty uprzykrzają się swej matce, dopóki ta nie kupi im takich samych.

Jeżeli Niespokojniewiczówny zaczną tkać dla ojca i braci materiał na ubranie, to Spokojniewiczówny wszelkimi siłami starają się dowiedzieć, jaki będzie desień.

Kobiety i dzieci tego nie czuły, ale obaj starzy,

przez kilka dziesiątków lat po wiele razy widząc się codziennie, tak sobie obrzydli, że gdyby jeden z nich zmarł, to drugi napewno wielce by się z tego ucieszył.

Coprawda na stypie zjadłby na intencję nieboszczyka misę gorącej kapusty z wieprzowiną i nie poszedłby spać zanim nie odmówił kilku paciery za duszę zmarłego, pieszo całą milę poszedłby za trumną i przy wpuszczaniu do grobu pięć łez by uronił, a po powrocie do domu w rozmowie z żoną uczyniłby filozoficzną uwagę:

— Ot, widzisz, i zmarło się nieboszczykowi. A byłby jeszcze pożył, gdyby nie zmarł...

Jednakże w głębi serca, choć i nie przyznając się przed samym sobą, byłby rad, że u sąsiada już nie będzie tak, jak było, już nie będzie tak, jak u niego.

O naśladowaniu innych sąsiadów nie było mowy, bo nie było co naśladować.

radjo, Juozefowoczka z p. Wołlejką uwieczniają ją w druku — jednocześnie dzieci z wiosek podwileńskich muszą klęczeć za karę z powodu, że używają między sobą mowy Macieja Buraczka. I mimowoli przychodzą na myśl słowa tegoż Buraczka:

...„Ej bijcież maciej,
Macniejszy ad wiery waszej Maciej!”

Gudas.

Pouczające wynurzenie.

Komisja dla usprawnienia administracji publicznej niedawno ogłosiła wnioski w sprawie podziału administracyjnego państwa polskiego. Wnioski te uwzględniają strukturę narodowościową jedynie w stosunku do podziału na województwa. „Województwo — według projektu Komisji — powinno obejmować obszar wyodrębniający się z terytorjum państwa występującymi na niem zagadnieniami państwowymi i dla którego z racji tych właśnie występujących na nim zagadnień, powinien być stworzony odrębny program wewnętrznej polityki państwowej”. Dalej jest mowa, że najważniejszym zagadnieniem o doniosłości ogólnie państwowej na obszarze północno-wschodnim jest zagadnienie białoruskie. Cechą wyróżniającą ten teren jest rozszedlenie ludności białoruskiej, która ma być objęta jednym wielkim województwem wileńskim celem „umożliwienia stworzenia jednego dla sprawy białoruskiej programu i konsekwentnego tego programu przeprowadzenia”.

Pan S. Wysłouch na łamach „Kurjera Wileńskiego” z dn. 26/III-32 r. szeroko omawiając ten projekt, wyraża swoje zadowolenie, iż województwo nowogródzkie i stanisławowskie przestaną być jednostkami o znacznej przewadze elementów obcoplemiennych; obawy przeciwników tego projektu uważa za niesłuszne, ponieważ „samorząd wojewódzki posiada ograniczoną sferę działania i nie powołany jest do realizowania postulatów o charakterze politycznym”, przyczem dopatruje się w projekcie komisji postępu w kierunku ujednostajnienia administracji publicznej w Polsce. Wszystko to panu Wysłouchowi niezmiernie dogadza, natomiast nie

podoba się mu projekt wspomnianej komisji omawiający reorganizację podziału administracyjnego państwa na powiaty. Niema tam mowy o Wileńszczyźnie, czyli podział na powiaty na ziemiach białorusko-litewskich pozostałaby bez zmian, a stąd i rola ciał samorządowych w dziedzinie zagadnień narodowościowych byłaby niekorzystną dla Polaków. Wniosek ten p. Wysłouch opiera na stosunkach wyznaniowych w powiatach Wileńszczyzny.

P. Wysłouch po porównaniu obszaru i stanu zaludnienia powiatu mołodeczańskiego i oszmiańskiego z innymi, stwierdza, iż na podstawie danych z roku 1929 w zakresie stosunków wyznaniowych powiat mołodeczański miał 19% katolików i 73% prawosławnych, zaś oszmiański 76% katolików i 14% prawosławnych. „Wówczas gdy Oszmiańszczyzna — pisze p. W. — posiada charakter wybitnie katolicki i polski, powiat mołodeczański wykazuje ogromną przewagę elementu prawosławnego i białoruskiego. Moment powyższy nabiera szczególniejszego znaczenia jeśli przypomnimy, iż jednostki podziału administracyjnego pokrywają się z jednostkami samorządu powiatowego”. Dalej p. W. stwierdza, że w oznaczonym roku w radach gminnych powiatu mołodeczańskiego było katolików 27% a praw. 61%, podczas gdy w oszmiańskim kat. 88%, praw. 8%. Ta dziwna dyproporcja pomiędzy ilością mieszkańców gminy danego wyznania a przedstawicielstwem jego w radach gminnych uszła uwagi p. W. jako rzecz nienadająca się do badań widocznie z powodu „zjawisk nadprzyrodzonych” przy wyborach, natomiast upatruje on wielką sprzeczność pomiędzy postulatami Komisji a naszą wileńską rzeczywistością. Stwierdza p. Wysłouch, iż utrzymanie wspomnianych powiatów „świadczy o zupełnym nieliczeniu się Komisji z rolą miejscowego, prowincjonalnego elementu społecznego polskiego”.

Konkretnej recepty z powodu „pokrzywdzenia” elementu polskiego p. W. nie daje i zresztą trudno jest ustalić na czym właściwie ta krzywda ma polegać. Artykuł natomiast zawiera życzenie ogólne, dość wymowne a cenne przedewszystkiem dlatego, że pochodzi z pod pióra „stuprocentowego” piśmudczyka. „Ośrodki kultury polskiej tej miary co Oszmiana (sic!) — oświadcza p. W. — muszą być otaczane specjalną opieką moralną i materjalną państwa przy równoczesnym przywróceniu im dawnych tere-

Różnice.

Spostrzegawczy człowiek, patrząc ze strony, mógł zauważyć sporo różnic między Spokojniewiczem i Niespokojniewiczem.

Przedewszystkiem wygląd.

Spokojniewicz był tęgi, średniego wzrostu i zażywał tabakę. Chociaż więc golił się na czysto, jednak górna warga zawsze była, jakby przez muchy upstrzona.

Niespokojniewicz był chudy, bardzo długi i palił tytoń. Goliąc się, zostawiał pod nosem pęczek wąsów, które, gdy zęby coraz bardziej poczynaly wypadać, stawały się coraz podobniejszymi do włochatego końca skóry, którą swawolna warga przycisnęła do samego nosa.

Natomiast Spokojniewiczowa była wyższą od męża, o smukłej kibici i bez śladu otyłości. Niespokojniewiczowa zaś była maleńką i nie tyle tęgą, ile o bar-

dzo pulchnych kształtach i obfitych piersiach, które idąc czy biegnąc, zawsze podtrzymywała obiema rękami.

Dzieci Spokojniewiczów były wysokiego wzrostu, czarne, jak Cygani, o cienkich nosach i podłużnych twarzach. Zaś dzieci Niespokojniewiczów miały grube kości, szerokie twarze, tępe nosy, jasne włosy i błękitne oczy. A cerę miały taką delikatną, że chłopcy z twarzy byli podobni do dziewcząt. Za taką płeć jak mówią Japończycy, można wybaczyć siedmiorakie wady ciała.

Jak jedne, tak i drugie były uważane za najładniejsze w całej parafji, Często sprzeczano się we wsi o to, które z nich są ładniejsze. Ale sprzeczki pozostawały nierozstrzygnięte, bo że jednym podobali się więcej Spokojniewiczowie, a drugim Niespokojniewiczowie, więc każdy pozostawał przy swoim zdaniu.

Obie rodziny posiadały bardzo ładne głosy.

nów ekspansji kulturalnej i gospodarczej na południe i wschód, nie zaś odwrotnie". Innymi, więcej zrozumiałymi, słowy, Mołodeczno jako miasto i powiat o większości niepolskiej nie może mieć tych przywilejów co „polska” Oszmiana, w przeciwnym razie wytworzy się białoruska ekspansja na zachód a nie odwrotnie.

Materiały komisji dla usprawnienia administracji publicznej przy Prezesie Rady Ministrów tem się różnią od innych publikacji, że publiczność ich nie czyta. Ogłoszono tych projektów już wiele tomów, łatwiej jednak jest płodzić pomysły, niż je wykonać. To też chociaż nowy projekt Komisji mówi wreszcie o rzeczy tak palącej jak o ukształtowaniu narodociowego programu na ziemiach białoruskich — nie bardzo się chce wierzyć by doszło do jego zrealizowania. Stąd nie tyle zasługuje na uwagę sam projekt, ile uwagi p. Wysloucha jako człowieka stojącego blisko obozu rządowego na naszym gruncie.

Pan W. w swoich wywodach nie zapomniał dodać, że „żywioty katolicki i prawosławny na ziemiach białoruskich (sic), to coś więcej niż wyznania religijne”. A co więcej? Jak wynika z wywodów sz. autora, to są nietylko dwa wyznania, ale dwa narody. Nikt nie będzie spierał się, że ludność katolicka pow. oszmiańskiego składa się również z Polaków; nie chciał jednak pan W. przyznać, że jest tam ich nikły odsetek i w tem właśnie sęk. Wprawdzie, każdy Oszmiańczyk jako tako umie do polsku, lecz konia z rżędem temu, kto odnajdzie w całym powiecie choćby jedną wieś, któraby używała u siebie języka polskiego lub była pochodzenia polskiego. Fakt ten obala wywody p. Wysloucha, a jego obawy zbiałoruszczenia Oszmiany przez Mołodeczno czyni bezprzedmiotowymi, ponieważ nie można tego zbiałoruszczyć co i tak jest białoruskie.

Miasteczka w Wileńszczyźnie mają rozmaite właściwości. Smorgonie słyną z dawnej akademii niedźwiedziej i obwarzanek, Oszmiana ze szlachty niekoniecznie polskiej, lecz ciemniejszej od chłopów. Obecnie zasługę odkrycia w Oszmianie „ośrodka kultury polskiej” należy całkowicie przyznać p. Wyslouchowi. Odkrycie to dokonało się nie w rzeczywistości jednak, lecz w umysłowości p. W. zbliżonej bardzo do umysłowości przeciętnego nacjonalisty polskiego.

Tylko młodzi Spokojniewiczze składali się z sopranów i tenorów, gdy Niespokojniewiczze z kontraltów i barytonów, tworząc razem doskonały chór, powszechnie znany i ceniony zarówno w kościele jak na weselach.

Kobiety wychodząc za mąż do Auksztajć, przynosiły z sobą do swych nowych domów swój specjalny rozczyn, na którym wyrastał cały dom.

Niespokojniewiczowa była bardzo prędką, ale nietylko porywczą, ile krzykliwą. I cały dom stał się gniazdem krzykaczy.

Mając piętnaście lat, była ona już zupełnie dojrzałą dziewczyną, o bardzo bujnych kształtach. Popatrz na nią, bywało, matka i dziwuje się:

— Taka jeszcze smarkata, a już taka krowa...

Tak i przyłgnęło do niej to przezwisko. Nie gniewało ono jej, gdy była jeszcze u rodziców, a i sama zaczęła tak nazywać innych, gdy swą rodzinę założyła.

Polityczne credo w kwestji narodowościowej p. W. niestety, nie jest w obozie jego przyjaciół politycznych zjawiskiem odosobnionem. Różnica na korzyść p. W. jest ta, że jest on szczerym, podczas gdy inni wolą maskować się.

Szczerłość p. Wysloucha, uchodzącego dotąd za przyjaciela Białorusinów i byłego wychowawcy młodzieży w gimnazjum białoruskim, jest bądź co bądź zjawiskiem niecodziennem i niezmiernie cennem, kładzie ona bowiem kres niepotrzebnym złudzeniom i omyłkom.

A. B.

(Przyp. Red.) Zamieszczając powyższe uwagi naszego współpracownika bez zmian, zaznaczyć winniśmy jednak, że cechuje je pewna przesada i uprzedzenie. Popierwsze, o ile wiemy, p. Wyslouch nie może być uważany za „stuprocentowego” piłsudczyka, a w żadnym razie jego stanowisko nie jest odbiciem poglądów obozu rządowego, po drugie zaś myśl, którą p. Wyslouch stara się uzasadnić w inkryminowanym artykule, naszym zdaniem, nie zasługuje na tak stanowcze potępienie, o ile się ją wyprostuje i wyluska z bałamutnych obłonek.

Jak nam się wydaje, p. Wyslouch chciał podkreślić szkodliwość odseparowania ludności białoruskiej prawosławnej od katolickiej, mniej lub bardziej spolszczonej. Utrzymywanie tych dwóch odłamów w ramach odrębnych organizacji administracyjno-samorządowych będzie niewątpliwie sprzyjało pogłębieniu różnic pomiędzy niemi i obudzeniu się w konsekwencji szkodliwego antagonizmu, co jest, oczywiście mocno niepożądane. Wzajemne zbliżenie i oddziaływanie na siebie przy bliższej styczności na polu pracy obywatelskiej obu stronom wyszłoby niewątpliwie na dobre. Być może, że p. Wyslouch pragnie przewagi tego drugiego odłamu katolickiego i spolszczonego, ale o ostatecznych wynikach zadecydują warunki polityczne i tendencje rozwojowe, mocniejsze od przemijających konjunktur.

Bibliografia.

Gołąbek Józef. *Wincenty Dunin-Marcinkiewicz. Poeta polsko-białoruski*. Wydawnictwa T-wa Pomocy Naukowej im. E. i E. Wróblewskich. Wilno 1932.

Jest to już druga monografia, wydana nakładem T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich. Pierwsza, zawierająca charakterystykę A. H. Kirkora

— Ach, ty, krowo! Ach, ty, byku!—rozlegało się na podwórku Niespokojniewiczów wnet po powrocie gospodyni z pola. To Niespokojniewiczowa tak tytułowała swych „aniołków”, w zależności od tego, czy te były żeńskiego rodzaju, czy też męskiego.

— Idź, ty, krowo!—zwykł był mówić, puszczając kłęby dymu, Niespokojniewicz, gdy wypadało pogderać na żonę, lub też wykazać niedorzeczność jej opinii.

„Krowa” to nie takie znów straszne słowo. Z tłustej, mlecznej krowy ma się dużo korzyści. I wygląd jej nie taki znowu śmieszny!

(D. c. n.)

jako wydawcy, pióra M. Brensztejna ukazała się w r. 1930. Autorem omawianej pracy jest dr. Józef Gołąbek, zamieszkały w Warszawie, który poświęcił się studjom nad literaturą narodów słowiańskich, w pierwszym rzędzie białoruskiego i ukraińskiego. Z tego tytułu jeździł nawet przed kilku laty do Mińska, gdzie miał możliwość zapoznać się bliżej z wcale pokaźnym już dorobkiem naukowym miejscowych „białorusznawców”, między innymi również z obfitą literaturą krytyczno-historyczną, dotyczącą twórczości Wincentego Dunin-Marcinkiewicza, co, zdaje się, nasunęło mu myśl opracowania monografii w języku polskim o tym niedość znanym u nas pisarzu, poczytywanym nie bez słuszności za ojca współczesnego piśmiennictwa białoruskiego.

Pracę swą autor podzielił na 8 rozdziałów. W pierwszym omówił obszernie i szczegółowo utwory w języku białoruskim, datujące się z pierwszej połowy XIX w., a więc z okresu współczesnego lub bezpośrednio poprzedzającego twórczość Marcinkiewicza, uwydatniając wpływ na nie romantyzmu polskiego.

Drugi rozdział zawiera dokładny życiorys poety oraz kompletną bibliografię jego utworów. Trzeci, czwarty i piąty rozdziały są poświęcone niezmiernie drobiazgowej analizie twórczości Marcinkiewicza, osobno polskiej, osobno białoruskiej, osobno zaś dramatycznej. Szósty rozdział nosi tytuł: „Poetyka Marcinkiewicza”: w nim autor rozpatruje poetyckie wartości utworów białoruskich, technikę wierszowania, język i t. p.

W dwóch końcowych rozdziałach p. J. Gołąbek zastanawia się nad kwestją przynależności narodowej Marcinkiewicza, nad jego poglądami i stosunkiem do piśmiennictwa białoruskiego, wreszcie nad jego stanowiskiem w odrodzonej literaturze białoruskiej.

Autor dochodzi do wniosków następujących. Sprawa narodowości Marcinkiewicza wywołała dość obszerną dyskusję. Jako poeta białoruski jest uważany za Białorusina, co jednak należy przyjąć z pewnymi zastrzeżeniami ze względu na to, że pisał również dużo po polsku i niejednokrotnie zaznaczał swą polskość. O separatyzmie ani terytorjalnym ani narodowym nie było wówczas mowy. Poecie — według jego własnych wynurzeń — chodziło głównie o to, aby lud białoruski, wśród którego żył, nabrał zamiłowania do oświaty, a powtórę sądził, że dając odpowiednie oświetlenie stosunków pańszczyźnianych wpłynie na ich poprawę. Raczej więc czynnik społeczny, niż narodowy był dla Marcinkiewicza pobudką, że zaczął tworzyć w języku białoruskim, w czym spotkał się z gorącą zachętą ze strony Syrokomli i Adama Pługa.

Krytyka białoruska ze względu na zacofane poglądy, jakim dał wyraz Marcinkiewicz w swych utworach, odnosi się do niego na ogół negatywnie. Kładąc nacisk główny na jego konserwatyzm szlachecki pomijano inne wartości, jakie posiadają jego utwory. Do tych należy przedewszystkiem pierwiastek etnograficzny, widoczny w malowaniu obyczajów i obrzędów ludu białoruskiego. Warto przytem stwierdzić, że żaden z polskich poetów doby romantycznej nie dorównał mu pod tym względem.

Ale pozatem jest Marcinkiewicz również pisarzem narodowym białoruskim, dał on bowiem początek odrodzonemu piśmiennictwu białoruskiemu; jego utwory pobudziły późniejsze pokolenia do pisania po białorusku.

Taka jest w głównych zarysach treść monografii dr. Gołąbka. Wartość jej polega głównie na zgromadzeniu obfitego materiału i poruszeniu zaniedbanego przez polskich historyków literatury tematu: charakteru, działania i znaczenia pierwiastka litewsko-białoruskiego w twórczości inteligencji polsko-szlacheckiej w obrębie b. W. Ks. Litewskiego. Temat ten nie został wyzyskany dostatecznie przez autora i wymaga pogłębienia. Wydaje się zresztą, że zrozumieć go należy i odpowiednio ująć potrafi tylko badacz miejscowy, odczuwający ducha „tutejszości”. Ale za impuls dany w tym kierunku należy się wdzięczność zarówno autorowi, jak wydawcom.

a.

Piątkiewicz Włodzimierz ks. Prawda o Albertynie. W odpowiedzi p. Wł. Jeśmanowi z Berdowicz i ks. kan. Ad. Abramowiczowi z Białegostoku. Kraków 1932. Nakładem wydawnictwa ks. jezuitów.

Znaną jest dobrze czytelnikom „Przeglądu Wil.” niesumienna i oszczerca kampanja, jaką prowadzi od dłuższego czasu nacjonalistyczny odłam opinii polskiej przeciwko działalności misyjnej o. o. jezuitów obrządku wschodniego z Albertyna.

Na łamach „Przeglądu Wil.” niejednokrotnie były omawiane i zbijane rzeczowemi argumentami zarzuty przeciwników akcji unijnej w nowej formie. W Nr. 1—2 z r. b. Super-scrutator polemizując z wywodami Scrutatora, którym „Przegląd Wil.” udzielił gościny w roku ubiegłym, dał wyczerpującą i dokładną charakterystykę pracy misyjnej ks. jezuitów obrządku wschodniego, jej metod, celów i zadań. Jako głos anonimowy jednak nie mógł mieć on takiej wagi i takiego znaczenia, co omawiana enuncjacja, która wyszła z pod pióra i jest podpisana przez ks. Wł. Piątkiewicza, przeora (protoihumena) misji wschodniej Tow. Jezusowego.

Na wstępie autor wymienia szereg powodów, które powstrzymywały dotąd jezuitów albertyńskich od występów publicystycznych w swej obronie. Ponieważ jednak milczenie to było wyzyskiwane przez przeciwników jako dowód słuszności ich zarzutów, ks. Piątkiewicz, w charakterze obecnego przełożonego i przedstawiciela Misji Wschodniej T-wa Jezusowego, uznał za swój obowiązek zabrać głos publicznie, wyjaśniając spokojnie i obiektywnie stanowisko Misji, prostując i odpierając niesłychane kalumnje, rozsiewane przez jej wrogów, a przyjmowane nieraz z dobrą wiarą przez szeroki ogół.

Ks. Piątkiewicz w swej broszurze odpowiada wyłącznie na ataki p. Jeśmana i ks. Abramowicza, zamieszczone w „Gazecie Warszawskiej” i „Jutrzence Białostockiej”, a powtórzone skwapliwie przez „Słowo” wileńskie, ponieważ stanowią one kwintesencję niechętniej i niesumiennej krytyki działalności jezuitów albertyńskich. Nie widzimy potrzeby streszczania wywodów autora, gdyż poza pewnymi szczegółami, są one powtórzeniem i szerszym jeno rozwinięciem tego, o czym pisał już w „Przegl. Wil.” Super-scrutator. Należy mieć nadzieję, że po tak autorytatywnem sprostowaniu i wyjaśnieniu, ustanie wreszcie ta złośliwa kampanja, jaką wszczęto ze strony katolickiej, a przynajmniej formalnie za taką uchodzącej.

K. W.

